

P.S. HERYTIERA

[PIZGACZ]

EXTINGUISH
the HEAT

RUNDA
PIĄTA

be!
YA!

editio**red**



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Redaktor: Beata Stefaniak-Maślanka

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: <https://beya.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://beya.pl/user/opinie/exthe1>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-9067-6

Copyright © P.S. Herytiera 2023

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Prolog

Nie wiedziałam, w którym momencie zawiniłam. Zawsze starałam się myśleć o wszystkim. Wszystko zaplanować i trzymać się utartego schematu. Czułam się wtedy bezpieczna i spokojna. A potem pojawiłeś się Ty. Och, Bóg mi świadkiem, że akurat tego nie zaplanowałam w żadnym aspekcie. Po prostu zagościłeś w moim życiu, osaczając mnie. Swą obecnością nasyciłeś powietrze, którym wcześniej błogo oddychałam. Przybyłeś, a wraz z Tobą przybył i on. Mrok.

Szczerzył ostre kły, z bezczelnym uśmiechem patrząc mi prosto w oczy. Odbierał zdolność logicznego myślenia. Wykańczał mnie, by później pomóc mi odzyskać dech i uderzyć ze zdwojoną siłą. Bawił się mną. Byłam jedynie kukielką na sznurkach, wykonującą każdy rozkaz bez głębszego namysłu. Ale wraz z mrokiem przyszła również światłość. Piękna, barwna i seraficzna. Zniewalała mnie swym niebiańskim urokiem, w którym się całkowicie zatrafiłam. Bezapelacyjnie się jej oddałam.

I wtedy, gdy to zrozumiałam, pojęłam w końcu, w którym momencie popełniłam błąd. W którym momencie upadłam. Byłam tak cholernie naiwna. Ślepo Ignęłam do światłości, nie mając pojęcia, że to ona wykańczała mnie najbardziej. I dopiero potem zdałam sobie sprawę, że to ona pociągała za sznurki, że to ona zamieniła rześkie powietrze w trujący gaz. Że to ona odbierała mi zmysły, raniła jak nikt inny i stała się dla mnie czymś, bez czego nie umiałam żyć. Zabijała mnie i przywracała do życia. Uzależniła od siebie, od swojego ciepła, a ja dawałam jej na to przyzwolenie. Zgodziłam się, by mnie zgubiła, bo jakiś głupi głosik we mnie podpowiadał mi, że to Ty mnie odnajdziesz. Nikt mnie jednak nie poinformował, że to właśnie Ty byłeś tą światłością.

Wiele razy Cię o coś prosiłam, ale to będzie ten ostatni raz. Ostatnia prośba przed naszą zagładą. Przed piekłem, jakie dla nas przygotowali. Bo już czekają.

Kiedy ostatecznie się poddamy, zdmuchnij popiół z mojego pokierszowanego serca. Bo wreszcie przyjdzie ten czas, kiedy nic nam nie zostanie.

ROZDZIAŁ 1.

Uśmiech miłych wspomnień

— Jeśli nie wstaniesz w ciągu czterech sekund, przysięgam, że nie będzie miło. — Głos mojego brata odbił się echem od beżowych ścian pokoju, a ja naprawdę miałam ochotę wyciąć mu struny głosowe tępymi nożyczkami.

Jęknęłam cicho pod nosem, a następnie odwróciłam się tyłem do drzwi, w których stał, i szczerzej nakryłam się ciepłą kołdrą. Nie chciało mi się nawet otworzyć oka i marnować na niego cennej energii, którą mogłam przeznaczyć na to, by wrócić do swojego przerwane go bardzo miłego snu. Theodor chyba jednak miał inne zdanie, bo głośne, pełne irytacji westchnienie wydostało się spomiędzy jego warg. Resztkami sił chwyciłam jedną z poduszek i przycisnęłam ją do twarzy, po czym położyłam na niej ramię.

— Co ty wyprawiasz? — zapytał znudzonym tonem mój brat.

Czułam na sobie jego pełen politowania wzrok, ale nie przejęłam się tym za bardzo.

— Wyobrażam sobie, że jestem jedynaczką — odburknęłam przytłumionym głosem. — Mam dziś wolny dzień, więc odejdz stąd i daj mi spać albo skończysz na chodniku za oknem.

— Och, chodnik i tak wydaje się przyjemniejszym miejscem niż twój pokój godny królowej lodu — odrzekł sarkastycznie. Chwilę później usłyszałam jego kroki. Najwyraźniej wszedł do mojej sypialni. — I jeśli to zrobisz, spóźnisz się.

— Niby na co? — zapytałam, w końcu odsuwając poduszkę.

Lekko uniosłam powieki, by na niego spojrzeć, zamknęłam je jednak z prędkością światła, bo Theo podszedł do okna, a następnie z premedytacją odsunął ciężkie zasłony. Promienie słoneczne uderzyły w moją twarz. Jęknęłam cierpiętniczo, przekręcając się na brzuch i ponownie wciskając głowę w sporych rozmiarów poduszkę. Poczułam się, jakby ktoś mnie oslepił.

Nienawidziłam swojego brata w każdym tego słowa znaczeniu. Jedynym powodem, dla którego jeszcze nie rzuciłam w niego lampką stojącą na szafce nocnej obok mojego łóżka, było to, że nie chciało mi się wyciągnąć ręki.

— Theo, nie muszę dziś iść ani na uczelnię, ani do Bensona, więc mam dzień wolny — wytłumaczyłam mu jak niedorozwiniętemu dzieciakowi, czując narastającą irytację. — Chcę spać, więc wyjdź z tego pokoju, bo jak Kota kocham, po śniadaniu wbiję ci żarówkę w gardło.

Moja groźba niestety nie podziałała, bo Theo bez słowa zerwał ze mnie ciepłą kołdrę. Uderzył we mnie chłód i ciało automatycznie pokryło mi się gęsią skórką. Miałam na sobie jedynie krótkie spodenki i za dużą koszulkę. Przekląłam szpetnie pod nosem, wyobrażając sobie swojego brata w klatce z dzikimi goryłami. W końcu jednak podparłam się łokciem o materac dużego łóżka i z wielkim wysiłkiem spojrzałam na Theodora.

W przeciwieństwie do mnie był już ubrany. Zmarszczyłam groźnie brwi, jeszcze lekko zamglonym wzrokiem taksując jego sylwetkę. Stał przede mną z dłońmi w kieszeniach swoich luźnych ciemnoniebieskich jeansów z szerokim czarnym paskiem. Nogawki podwinął, przez co było widać jego długie białe skarpety. Na stopach miał białe air force'y, co oznaczało, że zapewne wrócił z porannych zakupów. Zerknęłam na jego bordową, lekko za dużą bluzę Fila z białymi rękawami, którą wetknął w spodnie. Uniosłam brew z poważnym wyrazem twarzy.

— Dlaczego jesteś już ubrany o tak wczesnej godzinie, i to w dniu, kiedy zrobiliśmy sobie wolne? — zapytałam podejrzliwie, obserwując go uważnie.

Palcami, na których widniały trzy srebrne obrączki, odgarnął swoje czekoladowe włosy sięgające mu mniej więcej do połowy twarzy. Wiecznie miał z nimi problem, bo wpadały mu do oczu.

Jednak w tej sytuacji większy problem miał chyba ze mną.

— Bo jest już pierwsza, a ja musiałem iść na zakupy, żebyśmy nie zdechli z głodu — odparł sfrustrowany. — A jeśli dłużej będziesz tak leżeć i mnie irytować, to spóźnisz się na terapię.

— Mam terapię we wtorki, jakbyś zapomniał — warknęłam groźnie, ponieważ całkowicie mnie rozbudził, i to przez taką głupotę. Fakt, może się nie spodziewałam, że jest już tak późno, ale po kilku dniach pracowania i uczenia się zasłużyłam na chwilę dla siebie! — Więc wyjdź z tego pokoju i pozwól mi spać, zanim zachce mi się wstać i powyrywać ci włosy za tę bezsensowną pobudkę.

Już miałam z powrotem się położyć, kiedy ponownie zatrzymał mnie jego głos. Wtedy jak nigdy wcześniej chciałam zmienić brata.

— Victoria, przecież na ostatnim spotkaniu Sylvia mówiła, że nie da rady w kolejny wtorek, więc wizyta jest dzisiaj — jęknął, na co otworzyłam szerzej oczy.

Cholera! Zupełnie zapomniałam, że Sylvia wybierała się na urlop do Portugalii. Przecież przypominała mi o tym tyle razy!

Przez chwilę z tępą miną wpatrywałam się w niewzruszonego Theo, aż w końcu uniosłam się do siadu, a następnie klęknęłam na materacu, wyrzucając ręce w powietrze.

— I czemu mnie nie budzisz, kretynie, tylko stoisz jak słup?! — zawołałam, chcąc wyjść z tej sytuacji z twarzą, ale nie za bardzo mi się to udało.

Kątem oka dostrzegłam, jak Theo wznosi wzrok ku niebu, zapewne błagając o jeszcze odrobinę cierpliwości.

W ekspresowym tempie zerwałam się z łóżka i podbiegłam do trzydrzwiowej szafy naprzeciw nas. Bez namysłu wyciągnęłam z niej swoje ulubione czarne jeansy oraz luźną białą koszulę w poziome czarne paski. Czułam na sobie wzrok rozbawionego Theo, kiedy niczym huragan rozrzucałam wokół swoje rzeczy.

— Na którą to jest? — zapytałam, wyjmując z szuflady biały stanik z koronką.

— Na drugą — odpowiedział, przez co wymamrotałam coś niezrozumiałego pod nosem.

Ja i moje szczęście, cudownie!

— Mogłeś obudzić mnie wcześniej — mruknęłam, chociaż doskonale wiedziałam, że вина leży tylko po mojej stronie. Mogłam nastawić budzik i w ogóle o tym pamiętać.

Theo ponownie ciężko westchnął.

— Masz dwadzieścia dwa lata, a nie dwanaście. Sama musisz o takich rzeczach pamiętać.

Przewróciłam tylko oczami na jego słowa, powstrzymując się od ostentacyjnego prychnięcia. Kiedy już zebrałam wszystkie rzeczy, chwyciłam je pod pachę i z przyspieszonym oddechem odwróciłam się w stronę brata, który z rękami skrzyżowanymi na klatce piersiowej opierał się tyłem o parapet dużego okna. Patrzył na mnie z wyraźną kpiną i najwyraźniej bawiła go moja nieporadność. Uniosłam hardo głowę, opierając wolną rękę na biodrze.

— Mam ci przypomnieć, kto w tym domu ogarnia dosłownie wszystko? Od zakupów po rachunki? — zapytałam bojowo, na co uśmiechnął się kwaśno. — Gdyby nie ja, przepadłbyś.

— Och, oczywiście — odparł z udawanym przejęciem. Po tych słowach sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął białego samsunga. Z nonszalaną rzucił okiem na wyświetlacz, po czym znów spojrzął na mnie. — Zostało ci coś około pięćdziesięciu minut. Tik-tak.

Zasnurowałam usta, czując, jak pojawia się we mnie ochota, by dokończyć mordę z zimną krwią. Nic jednak nie powiedziałam, bo nie miałam czasu. Dusząc w sobie całą złość i frustrację, wypadłam z pokoju przy akompaniamencie rechotu Theo. Przebiegłam przez wąski korytarzyk i wparowałam do łazienki. W ekspresowym tempie zrzuciłam piżamę i zostałam jedynie w ciemnych figach. Szybko wciągnęłam na siebie ubrania.

Niemal jęknęłam, kiedy odwróciłam się w stronę dużego prostokątnego lustra zawieszonego nad umywalką. Wyglądałam okropnie z opuchniętymi oczami i potarganymi włosami. Czułam się tak, jakby ktoś przemielił mnie przez maszynkę do mięsa. Cały ten tydzień był strasznie męczący, co dało się zauważyć na mojej twarzy. Nie zwlekając dłużej, spięłam włosy w luźny kok i zaczęłam szorować zęby, w międzyczasie otwierając pierwszą szufladę pod umywalką, w której już nie mieściły się moje kosmetyki.

To był jeden z szybszych makijaży, jakie wykonałam. Jako studentka miałam w tym naprawdę sporą wprawę. Po kilkuminutowej walce z włosami odłożyłam prostownicę. Czarne jak noc kosmyki opadły luźno na moje ramiona. Sięgały mi już do połowy pleców, choć jeszcze niedawno ledwo dotykały ramion. Poprawiłam przedziałek na środku głowy, po

czym ostatni raz oceniłam swoje odbicie. Byłam z siebie dumna, że w niecałe pół godziny zdołałam dojść ze sobą do ładu.

Opuściłam łazienkę, w której pozostawiłam niezły bałagan. Z salonu dochodziły już odgłosy telewizora, więc wiedziałam, że zaległ tam mój brat. Wróciłam do swojej sypialni, gdzie szybko zapiełam łańcuszek na szyi, zegarek na nadgarstku i użyłam swoich ulubionych perfum o zapachu czereśni. Zgarnęłam jeszcze telefon z poduszki, ale nie miałam czasu, aby sprawdzać powiadomienia, więc tylko wrzuciłam go do torebki.

— Nie zjesz? — zapytał mój brat, kiedy weszłam do salonu połączonego z kuchnią.

Siedział na białej kanapie i nawet na mnie nie spojrzął. Wzrok miał utkwiony w ekranie dużego telewizora stojącego na niskiej szafce. Obok niego leżał Kot, pochrapując cicho.

— Nie mam czasu — odparłam, mijając go, i podeszłam do drzwi po przeciwnej stronie dużego pomieszczenia.

Szybko rzuciłam okiem na kilka par butów stojących w rzędzie. Nie chciało mi się szukać niczego w szafce, więc chwyciłam klasyczne czarne szpilki, które lubiłam.

— Tabletki — przypomniał mi Theo, na co uniosłam brwi i szeroko otworzyłam oczy, bo kompletnie zapomniałam o tak ważnej kwestii.

Pacnęłam się dłonią w czoło.

— Planujesz coś dziś robić? — zapytałam, podchodząc do kuchennego blatu, na którym leżało kilka rzeczy, w tym trzy białe opakowania z lekami.

Theodor wzruszył ramionami, ze znudzoną miną przerzucając kanały.

— Już zrobiłem, co miałem — westchnął. — Więc na razie siedzę w domu, ale może potem skoczę na miasto. Nie wiem.

— Erik wczoraj dzwonił — rzuciłam, wyciągając z każdego pojemniczka po jednej pastylce. — Zapytał, czy nie wpadniemy dziś na kolację.

— Jestem za. — Skinął głową, na co uniosłam kącik ust.

Połknęłam wszystkie tabletki i wróciłam do drzwi, gdzie włożyłam czarny płaszcz, który sięgał mi prawie do kostek. Wyciągnęłam włosy zza kołnierza i zawiesiłam torebkę na ramieniu.

— Idę. Będę za jakieś dwie godziny — powiadomiłam brata.

Znudzony zasalutował mi z przesadną ekspresją, ale nawet nie ukrywał, że bardziej zajmujący ode mnie jest dla niego Gordon Ramsey na ekranie telewizora. W takich chwilach przypominał mi naszą mamę.

Oprócz patykowatych rąk odziedziczył po niej uwielbienie do *Kuchennych koszmarów Gordona Ramseya*.

— O, i lepiej nie wchodź do łazienki. Nie spodoba ci się.

— Victo...

Nie dając mu skończyć, rozbawiona wyskoczyłam na klatkę i zatrzaśnięłam za sobą drzwi.

Odrzuciłam włosy do tyłu i spojrzałam na zegarek. Miałam piętnaście minut. *Cudownie*.

Kiedy pokonałam dwa ciągi schodów, otworzyłam drzwi kamienicy i wyszłam na zewnątrz. Rześkie powietrze uderzyło mnie w twarz, wywołując przyjemne ciarki na moich plecach.

Pogoda w mieście Lewiston w stanie Maine była taka, jaką obecnie lubiłam najbardziej. Było słonecznie, ale chłodno i mimo że od dziecka kochałam upały, tutejszy klimat mnie oczarował. Uwielbiałam to niebo zaciągnięte chmurami, przez które przebijały się promyki słońca, kochałam lekki wiaterek rozwiewający moje włosy i mroźne powietrze.

Żałując, że nie mam czasu na wolniejszy spacer, z dłońmi w kieszeniach płaszcz ruszyłam w stronę przystanku. Jesień w Lewiston była nadzwyczajna, a fakt, że rozgościła się już na dobre, napawał mnie dziwnym zadowoleniem. Miałam cichą nadzieję, że uda mi się jeszcze zapalić papierosa przed przyjazdem autobusu, ale nie wyszło. Poczułam się lekko podenerwowana, bo nie miałam fajki w ustach od kilkunastu godzin. Z mniejszym entuzjazmem wsiałam do prawie pustego autobusu i zajęłam wolne miejsce przy oknie, po czym wyjęłam telefon z torebki.

Zaczęłam odpisywać na wiadomości i posprawdzałam powiadomienia. Gabinet Sylvii znajdował się dwadzieścia minut drogi od naszego mieszkania, toteż wiedziałam, że na pewno się spóźnię. Plus były godziny szczytu, co oznaczało niezłe korki, szczególnie że moja terapeutka przyjmowała w samym centrum Lewiston, a z obrzeży, gdzie z Theo mieszkaliśmy, nie było tak łatwo się wydostać. Ostatnie pięć minut przesiedziałam z lekko nachmurzoną miną, z irytacją wpatrując się w równe uliczki i ładne kamienice za oknem. Byłam bez śniadania, bez filiżanki kawy oraz bez porannego papierosa.

Gdy wysiałam z autobusu, poczułam ulgę. Miałam dwie minuty spóźnienia, a budynek, w którym urzędowała Sylvia, znajdował się niecałe trzy minutki drogi z przystanku. Szybko popędziłam w tamtą stronę.

Niestety moje płuca nie były już płucami dwunastolatki, więc kiedy wchodziłam przez szklane drzwi do ciepłego wnętrza, myślałam, że wyzionę ducha. Nie upadłam na podłogę tylko dlatego, że w pomieszczeniu prócz mnie były jeszcze dwie osoby: recepcjonistka Kate siedząca za drewnianym biurkiem i nieznajoma kobieta na kanapie po drugiej stronie, czytająca jakieś pismo.

— Victoria! — zawołała Kate, kiedy tylko mnie zauważyła.

Niziutka, rudowłosa dziewczyna mniej więcej w moim wieku wstała zza zawalonego dokumentami biurka, przywołując na pulchną twarz szczerzy uśmiech, którego nie odwzajemniłam.

— Miło cię widzieć. — Podeszła do mnie i uściśnięła mi dłoń, tak jak robiła to zawsze.

— Ciebie również — odparłam, starając się nie sapać jej w czoło. — Wybacz, że się spóźniłam, ale zasnęłam i... — zaczęłam, a Kate tylko cicho się roześmiała, kręcąc głową.

— Wiem, wiem — przerwała mi. — Twój brat dzwonił wcześniej. Powiadomił mnie już, że się spóźnisz. Sylvia wie.

— Och — mruknęłam, analizując jej słowa. — Cóż, w takim razie należy mu się za to dobry obiad.

Kate znów zaczęła się śmiać.

— Sylvia czeka u siebie — poinformowała, wskazując dłonią na korytarz obok.

Mimo że na początku miałam opory przed przychodzeniem tam i moje wspomnienia z tamtego etapu nie były zbyt przyjemne, po czasie to miejsce w dziwny sposób zaczęło mnie uspokajać. Znajdowała się tam spora poczekalnia urządzona w odcieniach ciemnego brązu oraz beżu, w której była umiejscowiona recepcja zarządzana przez Kate. Pod jedną ze ścian stały duża mlecznobiała kanapa i dwa fotele do kompletu. Oprócz tego było tam wiele regałów z książkami, po które chętnie sięgałam, czekając na swoją kolej, a na ciemnych ścianach wisiało sporo obrazów. Z opowieści Kate, z którą czasami gawędziłam, czekając na wizytę, dowiedziałam się, że namalowali je pacjenci Sylvii. Niektóre prezentowały się naprawdę imponująco. Były kolorowe i biło z nich szczęście. Znalazło się tu też kilka takich, które już na pierwszy rzut oka wywoływały gęsią skórkę, ale w sumie dodawały temu miejscu uroku i magii.

W końcu stanęłam przed odpowiednimi drzwiami na końcu korytarza, a znajomy dreszcz przebiegł po moich plecach. Chodziłam na terapię już od ponad dwóch lat, a mimo to dziwne myśli i niepokój wciąż tliły się w mojej głowie. Ilekroć znajdowałam się w tym miejscu, ogarniało mnie to nieznośne uczucie. Chociaż wiedziałam, że po czasie jest inaczej, że jest lepiej... w mojej głowie zawsze pojawiały się niechciane wspomnienia z pierwszych wizyt.

A przecież to wszystko było po to, by nie pamiętać, czyż nie? Bo wszystkie moje starania były po to, aby zapomnieć.

Zacisnęłam dłonie w pięści, starając się odgonić denerwujące myśli, i pewnie zapukałam w drzwi. Z chłodną miną odkaszlnęłam, po raz milionowy czytając napis na umieszczonej na nich tabliczce. „Doktor Sylvia Iversen”. Nienawidziłam tego słowa. Doktor. Dlaczego doktor? Doktor leczy ludzi chorych.

Przecież jesteś cho...

Z zamyślenia wyrwała mnie sama Sylvia, która nagle pojawiła się w progu i utkwiała w mojej twarzy spojrzenie czekoladowych oczu.

— Już myślałam, że zaczęłaś mieć mnie dość i się wymigałaś — powitała mnie swoim ciepłym, uspokajającym głosem.

Rozluźniłam się. Uśmiechnęłam się delikatnie, kiedy gestem dłoni zaprosiła mnie do środka, otwierając szerzej drzwi.

— Nigdy nie odpuściłabym sobie tej przyjemności, by znów zostać przez ciebie przemaglowaną — odparłam z lekkim przekąsem, wchodząc do gabinetu.

Kobieta jedynie cicho parsknęła, zamykając za mną drzwi.

— Czyżbym słyszała w twoim głosie ironię? — zapytała z cwanim uśmiechem, podchodząc do swojego biurka, podczas gdy ja skierowałam się w stronę podłużnej kanapy znajdującej się przy ścianie naprzeciwko.

— Skądże — droczyłam się z nią.

Zrzuciłam z siebie płaszcz i jak zwykle rozejrzałam się po dobrze mi znanym pomieszczeniu, które stylem niewiele różniło się od poczekalni. Brąz musiał być chyba ulubionym kolorem Sylvii, ponieważ na palcach jednej ręki mogłabym zliczyć rzeczy, które miały inną barwę. Brązy i beże zdecydowanie dominowały, począwszy od ścian i podłóg, a na leżącej na biurku podkładce w kolorze kawy skończywszy.

Sylvia emanowała spokojem ducha i pewnością, więc jej gabinet do niej pasował.

— Proszę, usiądź — powiedziała, jednocześnie wertując papiery w szafce obok swojego biurka. Chyba czegoś szukała.

Zrobiłam to, o co poprosiła. Zająłam miejsce i założyłam nogę na nogę. Odgarnęłam kosmyk włosów za ucho i spojrzałam na kobietę, która w końcu się wyprostowała. W dłoni trzymała dobrze mi znany czarny notes. Był jej nieodłącznym atrybutem i aż strach pomyśleć, co się w nim znajdowało. Poprawiła jasne garniturowe spodnie i znów posłała mi promienny uśmiech. Szybko zgarnęła pióro z biurka, po czym podeszła do swojego fotela ustawionego naprzeciw mnie w dosyć bliskiej odległości. Jak zawsze usiadła na nim, również zakładając nogę na nogę, i otworzyła notesik.

— Jak ci minął czas od naszego poprzedniego spotkania, Victorio? — zapytała pogodnie, przerzucając kolejne kartki.

Wzruszyłam ramionami, mimo że Sylvia nawet na mnie nie patrzyła, a następnie zatrzymałam wzrok na ohydnej figurce ryby na jej biurku. Wiedziałam, że był to ręcznie wykonany prezent od jakiegoś dzieciaka, któremu pomogła, ale ja za nic w świecie nie zgodziłabym się na trzymanie takiego paskudztwa na widoku. Ta ryba była naprawdę odrażająca.

— W sumie w porządku — odparłam neutralnie, odwracając spojrzenie od figurki. Znów przeniosłam je na kobietę, która tym razem wpatrywała się we mnie. Ponownie poczułam się tak, jak gdyby przeskanowała mnie na wylot i znała już odpowiedzi na dosłownie każde pytanie. To było strasznie męczące. — Zaliczyłam ostatnio egzamin na uczelni. Przeczytałam dwie książki i uhm... nauczyłam się robić dobrą tartę cytrynową. I jest całkiem niezła... Chyba mogę uznać to za dobrze spędzone dni — westchnęłam, kończąc swoją krótką spowiedź sztucznym uśmiechem, ponieważ nie cierpiałam tych standardowych pytań. — Moje życie jest takie ekscytujące.

Po moich słowach Sylvia tylko się uśmiechnęła, kręcąc delikatnie głową. Po dwóch latach doskonale wiedziała, jak radzić sobie z moim sarkazmem i uszczypliwościami, których nie szczędziłam jej w tym niewielkich rozmiarów pokoju. Często robiłam to nieświadomie, choć musiałam przyznać, że czasami zdarzało mi się sięgać po nie z premedytacją.

To nie tak, że nie lubiłam Sylvii. Wręcz przeciwnie, naprawdę darzyłam ją wielką sympatią, jednak dni... bywały różne.

Kobieta nakreśliła coś w swoim notesie, co nie umknęło mojej uwadze. Jej króciutkie brązowe loczki podskakiwały, gdy poruszała głową.

— Jak w pracy? — zapytała.

— Bez zarzutów. Benson nadal jest nieznośny, ale dostaję fajne profity. Ostatnio przywieźli nową kolekcję od Armaniego. Moja szafa jest bogatsza o kilka par szpilek i sporo sukienek — odparłam, a humor lekko mi się poprawił. Mimo że nienawidziłam swojego szefa, nie zamieniłabym tej roboty na inną. — Chyba jest dobrze.

— Chyba? — dopytała, unosząc zawadiacko brew, a wyglądało to tak komicznie, że nie mogłam się powstrzymać i parsknęłam cichym śmiechem.

— Chyba na pewno — dopowiedziałam.

Sylvia milczała przez chwilę, a jej mina uległa nieznacznej zmianie. Znów wpatrywała się w swój notes jak chrześcijanin w Biblię, a ja wlepiłam wzrok w jej twarz.

Pani Iversen może nie była przykładem klasycznej piękności, ale trzeba było być głupim i ślepym, aby nie zauważyć, że coś w sobie ma. Mimo prawie pięćdziesięciu lat wyglądała młodo. Miała puciołowatą twarz i chyba to sprawiało, że robiła wrażenie empatycznej, ale jej wielkie czekoladowe oczy okryte wachlarzem gęstych rzęs potrafiły przeświecić człowieka na wskroś.

W końcu spomiędzy pełnych ust mojej terapeutki wydostało się ciche westchnienie. Wiedziałam, że sielanka powoli dobiega końca. Atmosfera stała się cięższa, a wszystko wokół, włącznie z samą Sylvią, jakby przygasło. Uniosłam brwi i mimo że nie czułam się pewnie ani bezpiecznie, nie dałam tego po sobie poznać.

Jak zwykle zresztą.

— Chciałabym dziś porozmawiać z tobą o czymś konkretnym — zaczęła spokojnie Sylvia, splatając dłonie i delikatnie pochyłając się w moją stronę. — O czymś, o czym dawno nie rozmawialiśmy.

— Jak zawsze — odparłam.

Między nami znów zapanowała cisza, podczas której zrobiłam się jeszcze bardziej niespokojna. Zwilżyłam językiem suche usta.

— Jutro jest czwarta rocznica śmierci twojego ojca.

Poczułam, jak moje serce zamiera, aby po chwili puścić się w galop, prawdopodobnie mający na celu wykończenie mnie. Moje ciało zastygło w całkowitym bezruchu, kiedy wpatrywałam się w oczy Sylvii, w których widziałam pewność i spokój. Kolejne sekundy mijały, a kobieta czekała na moją reakcję. Jednak nie doczekała się jej od razu. Prawdę mówiąc, nie doczekała się jej także po minucie. Czułam każdy swój powolny oddech, gdy starałam się okiełznać natrętne myśli, które całkowicie mnie sparaliżowały.

W końcu mrugnęłam kilkukrotnie, ponieważ moje oczy zaszyły lekką mgiełką. W gardle nieprzyjemnie mnie drapało. Podparłam się dłońmi o kanapę, na której siedziałam, starając się zmienić pozycję, co nie było łatwe, ponieważ moje ciało było dziwnie odrętwiałe. Wiedziałam, że te nerwowe ruchy ujawniają mój stan, ale nic nie mogłam na to poradzić. Poczułam dziwną potrzebę zmiany miejsca, ponieważ ta cholerna kanapa stała się nieznośnie niewygodna.

Sekundy uciekały, a ja doskonale wiedziałam, ile ich minęło. Jak ja nie znośiłam liczyć czasu i tego, że wciąż to robię. Wiedziałam, że nie mogę milczeć wiecznie, chociaż naprawdę tego chciałam, bo niby co mogłam jeszcze powiedzieć?

— Tak — odparłam w końcu lekko zachrypniętym głosem. Figurka obrzydliwej ryby wlepiła we mnie wielkie ślepia dokładnie tak samo jak kobieta naprzeciwko. Nie mogąc tego dłużej wytrzymać, spuściłam wzrok na swoje dłonie ułożone na udach. — Tak, wiem.

— Jak się z tym czujesz? — zapytała Sylvia, a mnie nie udało się powstrzymać przewrócenia oczami.

Z niewzruszoną miną uniosłam głowę. To pytanie lekko mnie zirytowało.

— A jak mam się czuć? — burknęłam z wyczuwalnym sarkazmem, utrzymując z terapeutką kontakt wzrokowy.

W moich oczach musiała dostrzec oskarżenie i wyrzut, ale pozostała spokojna. Jak zawsze.

— Jest tak samo jak trzy lata temu. I dwa. I rok.

— Czyli? — zapytała.

Poczułam nagłą potrzebę wyjścia z tego cholernego cichego pokoju. Wiedziałam jednak, że to byłoby nie w porządku, więc z wielkim trudem zdusiłam w sobie chęć bycia opryskliwą i ciężko westchnęłam, wzruszając ramionami.

— Cóż... Mój ojciec nie żyje. Nie wiem, jak mam to opisać — mruknęłam cicho.

Sylvia nie odpowiedziała od razu, ale wciąż czułam jej poważne spojrzenie na swojej twarzy. Nie chciałam łąpać z nią kontaktu wzrokowego. Straciłam na to ochotę, a jedyne, czego w tamtej chwili potrzebowałam, to papierosa i filiżanki czarnej jak noc kawy.

Oczywiście, że wiedziałam, co stało się tego cholernego piętnastego października. Te datę wraz z inną miałam wrytą bardzo głęboko w swoim umyśle, ale nie chciałam o tym rozmawiać. Nie potrzebowałam o tym rozmawiać.

— Victoria — z zamyślenia wyrwał mnie cichy i spokojny głos Sylvii. — Pamiętaj, o czym rozmawiałyśmy. Nie katuj się myślami. Mów o nich. Wyrzuć je z siebie, zamiast z nimi walczyć.

Przymknęłam powieki, wypuszczając z siebie pełen frustracji, zmęczenia i niechęci jęk. Przez cholerne dwa lata wałkowałyśmy to samo i byłam tym wszystkim zmęczona, chociaż to Sylvia musiała się nieźle natrudzić, aby cokolwiek ze mnie wydobyć. To wszystko było... To męczyło. Myślenie o tym, mówienie, zastanawianie się, ale tylko tak mogłam się oczyścić. Sprawić sobie mentalne *katharsis* i uwolnić się od demonów, które siedziały głęboko we mnie, nadal pociągając za sznurki. Potrzebowałam odkupienia, a słowa były jak deszcz. Zmywały ze mnie ten cały brud, ale czasami nie miałam po prostu siły, aby w tym deszczu stać. Tak było ze mną zawsze. Zawsze chciałam się schować pod dach, wolałam tkwić w nieporządku.

Westchnęłam ciężko, poddając się.

— Staram się o tym nie myśleć — zaczęłam cicho, wzruszając ramionami, aby pokazać, że to dla mnie nic wielkiego. Tyle że choć potrafiłam kłamać jak z nut, samej siebie nie umiałam oszukać. A co dopiero Sylvii. — Chodzę do pracy, żyję swoim życiem i chcę pokazać, że wszystko jest okej, ale jest tak jak co roku. Im bliżej tego dnia, tym bardziej... — zamilkłam na chwilę, odchylając głowę. Starałam się powiedzieć to, co ciążyło mojej udręczonej duszy, ale jak zwykle nie potrafiłam. — Wciąż mam to przed oczami. To jest wryte w mojej głowie i nie potrafię się tego pozbyć.

— Czego? — zapytała spokojnie kobieta.

Zimny pot znów oblał mi plecy.

— Po tym, jak wyjechaliśmy z Culver City, dzwonił codziennie. Codziennie jeden telefon o szóstej po południu. Czasami trochę później. Niekiedy wcześniej, ale zawsze był ten cholerny telefon. Tak minęły całe wakacje i cały wrzesień. Codziennie z nim rozmawiałam. Śmiałam się i opowiadałam, jak jest w Maine, aż w końcu... — Przełknęłam ciężko ślinę, a wspomnienia uderzyły we mnie ze zdwojoną mocą, burząc wszystkie mury, jakie wzniosłam. Jak ja nienawidziłam tego pierdolego ścierwa.

— Aż w końcu piętnastego października nie zadzwonił — dopowiedziała za mnie cicho Sylvia, na co zasznurowałam usta i sztywno wzruszyłam ramionami.

— Aż w końcu nie zadzwonił — powtórzyłam beznamiętnym tonem. — Nie zadzwonił. I mimo że wiedziałam, co to oznacza, chciałam się ludzić. Mimo że telefon milczał, ja wpatrywałam się w niego przez cholerne cztery godziny. Wmawiałam sobie, że może padła mu bateria albo dostał ważne wezwanie z posterunku. Ale podświadomie znałam prawdę. Był coraz słabszy. I nie chciał pokazywać tego ani mnie, ani Theo, ale ja wiedziałam. Jego głos nie był już taki energiczny i wesoły, a rozmowy tak długie jak na początku.

Znów miałam ten widok przed oczami. Minęły cholerne cztery lata, a ja pamiętałam to wszystko, jak gdyby wydarzyło się zaledwie godzinę wcześniej.

Z jednej strony nienawidziłam siebie za to, bo zdarzały się momenty, kiedy oddałabym wszystko, aby o tym zapomnieć. A kiedy przychodziły, nienawidziłam siebie jeszcze bardziej, bo byłam samolubna.

— Tak jak obiecaliśmy, nie przylecieliśmy do Culver City na jego pogrzeb — szepnęłam. — Nie poleciliśmy tam ani razu.

Ani razu od czterech cholernych lat.

— Poinformował cię o tym jego lekarz? — dopytała.

Skinęłam głową.

Kiedy prawie dwa lata wcześniej w grudniu zapisałam się na terapię, Sylvia przeprowadziła ze mną, Erikiem i Theo mały wywiad środowiskowy. Przez to dowiedziała się nieco o moim życiu, aby jakoś mi... chyba pomóc. Działała pomału, nie chcąc rzucać mnie na głęboką wodę, ale bywały takie dni jak ten, gdy musiałam wracać do tego wszystkiego, aby spróbować w końcu jakoś się z tym pogodzić.

Byłam jej cholernie wdzięczna za to, co dla mnie robi i jak bardzo się stara, abym ogarnęła swoje życie. Byłam bałaganem, który usiłowała posprzątać.

Każdy chciał go posprzątać i jak na złość nikt nie potrafił.

— Tak — mruknęłam. — Kilka godzin później zadzwonił jego lekarz i przyjaciel. Ojciec... — zacięłam się, bo coś znowu ukłuło mnie boleśnie w okolicy żeber. — Ojciec Mii.

— Mii Roberts? — zapytała, a ja potwierdziłam kiwnięciem głowy.

Kiedy wypowiedziała jej imię i nazwisko, nieprzyjemne uczucie rozlało się w moim wnętrzu. Nijak nie dałam jednak tego po sobie poznać. Starałam się zachować powagę, znowu spoglądając na swoje zadbane, długie paznokcie.

— Wiesz, co u niej?

— Nie rozmawiałam z nią od ponad trzech lat — odparłam, znów krzyżując spojrzenie z panią doktor. — Kiedy ostatni raz gadałam z Chrisem przez telefon, wspomniał, że jest okej. Podobno nadal mieszka w Culver City i żyje jej się dobrze. Ale to było około pół roku temu... nie wiem, jak jest teraz.

— Żałujesz tego, że nie masz z nią już kontaktu? — zapytała Sylvia, odchylając się na fotelu.

Przez dłuższą chwilę nie odpowiadałam, ponieważ zastanawiałam się nad tym, jak mam ubrać w słowa odpowiedź. Temat Mii Roberts, mojej byłej przyjaciółki z czasów szkolnych, również nie należał do łatwych. Prawdę mówiąc, cała moja przeszłość w Culver City była tematem tabu.

Mimo że minęło tak wiele czasu, to wszystko nadal się za mną ciągnęło. Wiedziałam jednak, że jeśli nie uporządkuję tego z Sylvią, nie uporządkuję nigdy. Czułam pulsujący ból prawej skroni, moje myśli nie chciały się uspokoić. Ilekroć do tego wracałyśmy, wszystko mi się mieszało, a jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że tylko rozmawiając o tym, mogę odzyskać spokój ducha zagubiony lata wcześniej.

— Mia od zawsze była dla mnie kimś ważnym — zaczęłam ze słyszalnym zmęczeniem w głosie. Splotłam ze sobą dłonie, nawiązując kontakt wzrokowy ze skupioną Sylvią, która uważnie mnie słuchała. — I zawsze będzie. Była moją przyjaciółką i pomogła mi w wielu momentach, ale jednocześnie wiem, że nic nie trwa wiecznie. Ona poszła w swoją stronę, a ja w swoją. I niczyja w tym вина.

Zaczęło się tak jak zawsze. Po moim wyjeździe do Maine cztery lata wcześniej rozmawialiśmy prawie codziennie. Czy to przez telefon, czy na wideoczacie. Ja opowiadałam jej, co u mnie i jak wygląda moja adaptacja w nowym mieście, a ona relacjonowała, co dzieje się w Culver City. Wtedy była ze swoim chłopakiem Lukiem Mitchellem. Nie wiedziałam, czy nadal są razem. Mimo że już się z nią nie przyjaźniłam, miałam szczerą nadzieję, że tak, bo cholernie do siebie pasowali.

Potem nie było już tak samo. Kiedy zaczęły się studia, miałyśmy mało czasu. Rozmowy zamieniły się w sporadycznie wymieniane SMS-y. Gdy się zorientowałam, co się dzieje, okazało się, że nie rozmawialiśmy ze sobą od miesiąca.

Najgorsze było to, że doskonale widziałam, jak się od siebie oddalamy, i nic z tym nie robiłam. Mijały kolejne miesiące, kiedy wysłałyśmy sobie życzenia urodzinowe czy świąteczne, aż w końcu... i to się urwało. Od ponad trzech lat nie miałam z Mią żadnego kontaktu. Ona żyła w Culver City, ja w Lewiston. Ona studiowała i pracowała, ja również rzuciłam się w wir obowiązków. Powtarzałam sobie, że tak musiało być, że nie miałyśmy już po piętnaście lat. Szkolne przyjaźnie nie trwają wiecznie, a kontakty wygasają.

Czasem kiedy siadałam w nocy w łóżku, przeglądałam nasze stare fotografie i wspominałam czasy, gdy wszystko było takie proste, uśmiechałam się pod nosem i tęskniłam. Potem przychodziło zrozumienie, że takie jest życie. Wszystko idzie dalej i naprzód. Dorastaliśmy, rozumieliśmy więcej i usamodzielnialiśmy się, ale, co najważniejsze, zapominaliśmy. Oczywiście, że pozostawały wspomnienia, które wywoływały uśmiech na twarzy, i to było piękne. Jednak zapomnienie przychodziło, aby zrobić miejsce nowym przeżyciom i doświadczeniom, które czekały na naszej drodze.

— Mówisz o tym z dziwnym spokojem — mruknęła Sylvia, na co wygodniej się oparłam.

— Takie jest życie. Ty nie miałaś żadnych przyjaciółek, z którymi nie masz już kontaktu? — odbiłam piłeczkę, unosząc hardo brew. — Każdy musi pójść w swoją stronę.

— Owszem, ale trzeba odróżniać wyparcie od pogodzenia się — zauważyła trafnie, a delikatny uśmieszek wpełzł na jej usta. — Jak jest w twoim przypadku?

— Jeśli chodzi o Mię, jestem z tym w pełni pogodzona — odpowiedziałam szczerze.

— A jeśli chodzi o pozostałych bliskich ci ludzi z twojego rodzinnego miasta? — zapytała wprost, na co mina mi trochę zrzędała.

Odchrząknęłam cicho, a noga znów zaczęła mi nerwowo podrygiwać. Dziwny dreszcz przebiegł wzdłuż mojego kręgosłupa. Poczułam silną irytację, chociaż tak naprawdę nie miałam powodu, by tak się czuć. W końcu grzebanie w moim życiu było jej pracą. Mimo to z zaciętą miną zacisnęłam wargi, unosząc brwi i posyłając terapeutce niezbyt miłe spojrzenie. Cała moja postawa wyrażała chęć wszczęcia burdy i buntu. Chociaż przyzwyczaiałam się już do huśtawek nastroju, nadal zadziwiało mnie to, jak potężne i szybkie potrafiły być.

— Czy cała dzisiejsza sesja nosi tytuł „o wspomnieniach z Culver City”? — zapytałam nieco ostrzejszym tonem, niż miałam w zamiarze. — Urocze, nie powiem, ale nieco niepotrzebne. Minęły cztery lata. Może skupmy się na teraźniejszości?

— Już na pierwszym spotkaniu powiedziałam ci, że aby było dobrze teraz, musisz pogodzić się z przeszłością i umieć o niej rozmawiać bez chęci rozszarpania komuś gardła — odpowiedziała mi równie zgryźliwie, nieco mnie gasząc. — A pamiętasz, w jakim byłeś wtedy stanie. Te sesje nie mają na celu sprawić, że zapomnisz. Mają pomóc ci pogodzić się z pewnymi rzeczami i je zaakceptować.

— Ale po co rozgrzebywać moją przeszłość? — zapytałam, gdy Sylvia zamknęła swój notatnik z długopisem pomiędzy kartkami i odrzuciła go na biurko. Ten gest nie oznaczał niczego dobrego.

— A twoja przeszłość nie jest częścią ciebie? — odbiła piłeczkę z nutką sarkazmu, na co przewróciłam oczami.

Bełkot.

— Jest, ale mnie nie definiuje — odrzekłam nonszalancko. — To, co było, już minęło.

— Skoro już minęło, to możesz o tym rozmawiać bez zbytniego wczuwania się. — Mimo że jej ton pozostał poważny, wyczułam w nim dziwną kpinę. Wygięła usta w uśmiechku zadowolenia, gdy groźnie zmrużyłam oczy. — Czyż nie?

Zapanowała chwilowa cisza i tylko na siebie patrzyłyśmy.

— Nienawidzę twojego niekonwencjonalnego podejścia do swojego zawodu — poddałam się w końcu i niczym ostatnia męczennica odchyliłam głowę na oparcie kanapy. Swoim zachowaniem wywołałam śmiech Sylwii.

Czasami naprawdę nie cierpiałam tego, że nie była jak inne psycholożki i nie stosowała typowej psychologicznej gadki, pozostając przy relacji pacjent – lekarz. Zamiast tego chciała słuchać o dosłownie wszystkim, była wścibska i na moje nieszczęście cholernie ją polubiłam.

— Ta rozmowa mnie męczy.

— Ty męczysz mnie od dwóch lat — dopiekła mi. — A mimo to jakoś nadal cię lubię.

Wyprostowałam się, patrząc na nią z uniesioną brwią.

— Powinni odebrać ci prawo wykonywania tego zawodu — burknęłam, opierając łokcie na kolanach. Usilnie starałam się poukładać w głowie myśli, aby zacząć mówić, ale nijak mi to nie wychodziło. — Moi dawni przyjaciele z rodzinnego miasta, o których opowiadałam ci na jednym z pierwszych spotkań, jakoś sobie radzą. To chyba najważniejsze.

— To znaczy?

— Nie mam kontaktu z nikim stamtąd — przyznałam się szczerze, znów czując się dziwnie przytłoczona. — O wszystkim, co się u nich dzieje, dowiadywałam się od Chrisa. Też nie jest z nimi tak blisko jak kiedyś, ale zawsze wiedział, co u nich. Nie rozmawiałam z nim od prawie pół roku, więc nie znam aktualności. Podobno Laura ze Scottem mieszkają na Florydzie, a Cameron zaczął znowu studia gdzieś w Nowym Jorku. Matt uległ rodzicom i dalej studiuje prawo. Też wyjechał z Culver City, ale nie mam pojęcia dokąd. Była dziewczyna mojego brata, Jasmine, została na miejscu, tak jak Mia i Luke. Chris świetnie sobie radzi we Francji. Inni znajomi ze szkoły porojeżdżali się po świecie. Mój wujek Garry dalej mieszka tam, gdzie dawniej.

— Rozmawiałaś z nimi po swoim wyjeździe?

— Tylko na początku. Od dłuższego czasu jest cisza, ale tak jak mówiłam. Taka kolej rzeczy.

Kiedy wspominałam swoich przyjaciół z czasów, gdy chodziłam do ogólniaka, zawsze się uśmiechałam. Jeśli chodzi o nich, wygrałam los na loterii. Ale tak jak w przypadku Mii, nic nie trwa wiecznie. Straciliśmy

ze sobą kontakt, bo większość z nas chciała wyjechać i zacząć życie od nowa. Dorosłość nigdy nie pyta o pozwolenie, po prostu włazi ludziom w życie z buciarami i zabiera wszystko. Pozostały mi wspomnienia, tamte lata były jednym z najlepszych okresów w moim życiu. Miałam przy sobie wspaniałych ludzi, o których myślałam tylko dobrze, i liczyłam, że oni też się uśmiechają, wspominając mnie.

Ale to wszystko działo się ponad cztery lata temu.

— A chłopak, przez którego to wszystko się zaczęło?

Nie mogłam opanować bladego uśmiechu, który wkrał się na moje wargi po pytaniu Sylvii. Z dziwnym zakłopotaniem, które nie towarzyszyło mi często, spuściłam wzrok na kolana, przygryzając dolną wargę. Bawiłam się palcami, a cisza, o dziwo, wcale mi nie przeszkadzała.

Po kilkudziesięciu długich sekundach, podczas których nie myślałam tak naprawdę o niczym, w końcu westchnęłam cicho i popatrzyłam na swoją terapeutkę, znów hamując uśmiech. Kobieta przyglądała mi się z dziwnym wyrazem twarzy.

— Cóż to za uśmiech? — dopytała.

— Jaki uśmiech? — udałam głupią, a kąciaki moich ust mimowolnie poszybowały w górę.

— Ten uśmiech.

— Otóż... — zaczęłam rozbawiona z uniesionymi brwiami — ...to uśmiech miłych wspomnień.

Czy mógłby być inny, skoro chodziło o niego?

Nathaniel Gabriel Shey.

To zabawne, że po ponad czterech latach wystarczyło jedno pytanie o tego chłopaka, aby wprawić mnie w taki stan. Minęły cztery lata, a ja wciąż pamiętałam. Pamiętałam dosłownie wszystko, bo jak mogłabym zapomnieć? Jak mogłabym nie pamiętać tego wcielenia kłopotów, dla którego sprzedałabym duszę diabłu? I choć minęło tak wiele czasu, czułam milion innych emocji i wiele rzeczy odeszło w zapomnienie, on pozostał w mojej pamięci. Bo jego nie mogłabym zapomnieć.

Wystarczyło jedno pytanie, a przed oczami miałam jego obraz. Obraz mojego prywatnego ideału. Widziałam w wyobraźni, jak w swoich nieodłącznych czarnych jeansach, czerwonej bluzie z kapturem i tego samego koloru converse'ach wspina się po rynnie do mojego pokoju. Niemal czułam pod palcami jego miękkie ciemnobrązowe włosy, które

zawsze żyły swoim życiem. Niemal czułam zapach papierosów, mięty i wody kolońskiej.

Było też coś, czego najbardziej nie potrafiłam zapomnieć.

Tę oczy.

Czarne niczym noc. Puste, a jednocześnie tak głębokie, że się w nich zapadałam. Wciągały mnie, elektryzowały, magnetyzowały. Nigdy mniej, zawsze więcej. Z każdym kolejnym spotkaniem, dotykiem, spojrzeniem. Szatan stworzony przez bogów.

— Chyba ktoś tu odleciał — mruknęła zadowolona Sylvia, na co zaśmiałam się cicho pod nosem.

— Możliwe — rzuciłam, unosząc kąciuki ust.

— Wspomniałaś o nim tylko raz. Na swojej pierwszej wizycie — powiedziała nagle, na co skinęłam głową. — Nigdy o nim nie opowiadasz i nagle po dwóch latach wystarczy jedno pytanie, a ty szczerzysz się jak nigdy.

— Mogłabyś zapytać o niego nawet po dwudziestu latach, a zareago-
wałabym tak samo.

— Więc kim był ten chłopak i co takiego zrobił?

Och, Sylvio. Był wszystkim.

— Był kimś, kto otworzył mi oczy.

Nie widziałam go ani nie rozmawiałam z nim od czterech lat. Nie wiedziałam, co się u niego działo. Chris wspominał coś o tym, że nadal mieszka w Culver City, i na tym moja wiedza się kończyła. Nasze ostatnie spotkanie było w moim domu w dniu wyjazdu do Maine.

Nathaniel należał do tej dobrej przeszłości. Pamiętałam chwile, kiedy był dla mnie wszystkim, moim powietrzem, wodą, ogniem, wiatrem. Wszystkim, co się liczyło, jasnością i ciemnością. Pamiętałam każdy moment. Każdy pocałunek i dotyk, każdą sekundę, gdy unosiłam się nad ziemią, ale i każdą, kiedy spadałam na dno, a potem jeszcze niżej. Mimo że minęły cztery lata, mimo że wszyscy dorośliśmy, każde z nas poszło w swoją stronę i zaczęło żyć własnym życiem... on na zawsze pozostał nieodłącznym elementem mojego.

Był ze mną zawsze. Zapisany w mojej głowie i duszy.

Mimo że nie czułam już do niego tego, co kiedyś, mimo że oboje ruszyliśmy do przodu, zawsze pamiętałam. Pamiętałam człowieka, który pokazał mi wszystkie aspekty życia. Zarówno te dobre, jak i złe. Pokazał

mi odcienie szarości, a nie tylko czerń i biel. Był pierwszym chłopakiem, który tak wiele dla mnie znaczył. Chociaż spotkałam po nim kilku następnych, z którymi wszystko wydawało się prostsze, nikt nie był taki jak on. Choć byli miłsi, liczyli się z moimi uczuciami i łatwiej było nam się zrozumieć, nikt nie dorównywał mu nawet w połowie.

Nathaniel był po prostu Nathanielem. Kimś nie do podrobienia.

— Pierwsze zauroczenie? — zaśmiała się Sylvia, na co i ja się uśmiechnęłam.

Obserwowałam małe drobinki kurzu unoszące się w powietrzu, idealnie widoczne w blasku promieni słonecznych. Bez namysłu wstałam z kanapy, rozprostowując obolałe kości. Z delikatnym uśmiechem podszłam do okna. Czułam poważny wzrok terapeutki na swoich plecach, gdy przymknęłam oczy, relaksując się.

Pierwszy raz od bardzo dawna nie potrzebowałam papierosów czy kawy. Nie potrzebowałam wyrzucać z siebie przekleństw ani wyłamywać palców ze stawów. Pierwszy raz od dawna poczułam dziwny spokój. Nie wiedziałam, czy to za sprawą całej tej rozmowy, wzmianki o nim albo o moich przyjaciołach, ale spokój opanował mnie całą. Tego właśnie chciałam. *Spokoju.*

— To nie było tylko zauroczenie — odezwałam się po długiej chwili, a mój głos był dziwnie przytłumiony. Odległy, jakby odszedł ode mnie w krainę słońca i zastąpiło go jego własne echo. Chyba tak się wtedy czułam. Jak echo samej siebie.

— Miłość? — zapytała, co wywołało moje ciche parsknięcie.

— Też nie — odparłam, kąpiąc się w promieniach słonecznych. — Dla mnie to było coś, czego nie potrafiłabym zamknąć w jednym słowie.

— Aż tak?

— Więcej — poprawiłam ją. — Nawet jeślibym chciała, nie potrafiłabym ci powiedzieć, co nas łączyło.

Nikt by nie potrafił.

— Tęsknisz za nim?

To pytanie sprawiło, że znów uciekłam myślami w przeszłość. Tęskniłam za nimi wszystkimi. Za kochaną Laurą Moore, która była naszym promyczkim, i za Lukiem Mitchellem. Za tym cwaniakiem, Scottem Hayesem, za którym przepadałam. Za Mattem Donovanem, który zabijał poczuciem humoru. Za szarmanckim Cameronem Wilsonem oraz

za pozbawioną hamulców Ashley Manson. Za Mią Roberts, która była dla mnie jak siostra. Za Chrisem Adamsem, z którym w przedszkolu zawarłam pakt przyjaźni na wieki. Nawet za cholerną Jasmine Sharewood, miłością mojego brata i moją nemezis, którą skrycie nawet lubiłam.

I za *nim*.

Przeżyłam z nimi tak wiele. Poznałam z nimi życie, ale to już przeszłość. Przeszłość, którą ceniłam i pamiętałam, ale którą pozostawiłam za sobą. Nie byliśmy już tymi dziećmi sprzed czterech lat. Dorośliśmy.

Spojrzałam przez okno na jasne niebo i lekko się uśmiechnęłam.

— Jest dobrze. Wszystko się kiedyś kończy — odparłam spokojnie.

— Grunt to umieć się z tym pogodzić — dodała Sylvia.

Skinęłam głową.

— Chyba wszyscy się pogodziliśmy. Mam nowe życie. Nowych przyjaciół, pracę i wspomnienia. Oni zapewne mają to samo. Każdy wybrał swoją ścieżkę, Sylvio. I ja wybrałam swoją.

— Więc jeszcze raz — zaczęła po chwili kobieta. — Cieszysz się, że wyjechałaś z Culver City?

Westchnęłam cicho, wbijając wzrok w ulicę za oknem. Po kilku sekundach na mojej twarzy znów pojawił się uśmiech. Ale nie był to uśmiech szczęścia czy radości. Nie był to również uśmiech smutku. Był to... po prostu uśmiech.

— Wyjazd z Culver City powstrzymał mnie od upadku i uratował moją psychikę — powiedziałam cicho. — To miasto mnie niszczyło. Było piekłem...

— Ale? — dopytała Sylvia, która oczywiście wyczuła w mojej odpowiedzi drugie dno.

Spojrzałam jej prosto w oczy.

— Ale czy cieszyłabyś się, gdybyś opuściła piekło, skoro zostawiłaś w nim diabła, dla którego zrobiłabyś wszystko?

Słońce chyliło się ku horyzontowi, kiedy z dłońmi wciśniętymi w kieszenie płaszcz spacerowałam po Lewiston. Było już po piątej i na dworze zrobiło się zimniej, więc moje nagie stopy w szpilkach całkowicie zamarzły. Nie przeszkadzało mi to jednak w tym, aby przez prawie dwie godziny krążyć bez celu po mieście. To był jeden z tych dni, gdy

wybierało się tę dłuższą drogę do domu. Błądziłam więc po kolejnych przecznicach, odkrywając nieznane mi dotąd zakątki.

Nagle telefon w mojej kieszeni zawibrował. Zatrzymałam się i skostniałymi dłońmi wyciągnęłam swojego złotego iPhone'a.

Theo: Zaraz wychodzę do Erika. Będziesz?

Wcześniej napisałam mu, że wrócę później, zupełnie zapomniałam jednak o kolacji u Erika. Wiedziałam, że powinnam pójść. Przez nawał obowiązków ostatnio widywaliśmy się rzadko, ale chyba nie miałam nastroju na takie spotkanie. Nie chciałam zepsuć im wieczoru, więc po chwili namysłu postanowiłam zrezygnować. Westchnęłam cicho i zaczęłam wystukiwać odpowiedź.

Victoria: muszę załatwić jeszcze kilka spraw. idź sam i powiedz, że wpadnę do niego w tygodniu. wrócę do mieszkania za jakąś godzinę.

Nie czekałam długo na wiadomość zwrotną.

Theo: Okej. Nie chodź długo sama.

Przewróciłam oczami na tego tatuśkowatego, troszczącego się Theo, który pomimo tego, że o mnie dbał, nadal pozostawał kretynek. Wcisnęłam telefon z powrotem do kieszeni. Byłam niecałe trzy przecznice od swojej kamienicy, ale nie chciałam jeszcze wracać. Bez zastanowienia ruszyłam w stronę parku, w którym również nie spotkałam zbyt wielu osób. To lubiłam w Lewiston, było spokojne i bezpieczne, a tego chciałam. Tego potrzebowałam.

Minęłam dwoje starszków siedzących na ławce, którzy trzymali się za ręce. Uśmiechnęłam się i podeszłam do fontanny na środku wyłożonego kostką placu. Wzdychając, usiadłam na jej brzegu i spojrzałam na jasno podświetloną wodę wylewającą się z wielkiej kamiennej ryby. Wszędzie te paskudne ryby.

— Może to jakiś znak? — wymamrotałam sama do siebie.

Moje myśli same wróciły do wizyty u Sylvii, która była niełatwa, ale naprawdę oczyszczająca. Nie lubiłam tematu mojego rodzinnego miasta. Wiązało się z nim zbyt wiele wspomnień. Przecież teraz byłam szczęśliwa, miałam dobrze płatną pracę, mieszkałam ze swoim irytującym, aczkolwiek kochanym bratem, który po śmierci rodziców stał się dla

mnie kimś na ich wzór. Z naszej dwójki to on był osobą, która myślała zdroworozsądkowo. W końcu wszystko było w porządku. Miałam fajne koleżanki i od czasu do czasu jakiegoś adoratora, a do tego Erik nam pomagał. Już dawno nie było złych dni. Ruszyłam do przodu.

Czasem, tak jak dziś w gabinecie Sylvii, wędrowałam myślami w przeszłość. Do moich przyjaciół. Do niego.

Ale potem wracałam do rzeczywistości. Do nowego życia bez nich, bo takie właśnie wybrałam.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Kiedy pochłonie nas żar, zdmuchnij popiół z mojego pokiereszowanego serca

Ze światła w mrok. Z mroku w światło. Między cieniem i słońcem, rozpaczą i szczęściem, wątpliwością i nadzieją. Victoria Clark porzuciła rodzinne Culver City, aby spełnić największe marzenia zmarłej matki — zamieszkać w innym stanie, studiować na prestiżowej uczelni i zdobyć dobrą pracę. Dziewczyna realizowała plan krok po kroku i wydawało się, że jest szczęśliwa... W rzeczywistości jej życie w Lewiston w stanie Maine bolało w sposób, o którym nie chciała mówić głośno. Niestety, pewien człowiek jednym telefonem zniszczył — złudny, jak się okazało — spokój Victorii i jej brata. Ta jedna rozmowa zmarnowała lata leczenia i próby zapomnienia o przeszłości. Co gorsza, sprawiła, że perspektywa powrotu do rodzinnego miasta stała się bardziej realna niż kiedykolwiek wcześniej. Victoria ponownie musi podjąć decyzję: zamknąć temat swojej rodziny czy spróbować dowiedzieć się prawdy o matce, która przez całe życie ją okłamywała? Los młodej kobiety znów jest niepewny, a każdy kolejny wybór okazuje się trudniejszy od poprzedniego.

Największym zagrożeniem jednak jest obudzenie dawno zapomnianych uczuć. Od czasu przeprowadzki do Lewiston Victoria starała się mieć nad wszystkim kontrolę. Przewidywać, planować, nie zostawiać miejsca przypadkowi. Ten skrupulatny plan zaczyna się sypać w momencie, w którym do Victorii dochodzi, że w Culver City dalej mieszka czarnooki chłopak o poranionej duszy. A niektóre rzeczy się nie zmieniają...

Czy w mroku czai się zagrożenie, czy może Victoria powinna się raczej obawiać pozornie przyjaznego światła? Przecież mówi się, że to ogień świeci najmocniej...

Zamknij oczy i zobacz mój obraz pod powiekami.

Patroni medialni:



*szatanbuch
czyta*



 **editio**red /editio.pl

beyA 18+
beya.pl

ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-283-9067-6



9 788328 390676

Cena: 49,90 zł